

Powieść CÓRKA TUŚKI

Gabrjela Zapolska

(Ciąg dalszy.)

I Pita tępe przysięga, a drobniutkie wargi szepczą modlitwę.
— Dobry Boże! dla zdrowia mamie, tacie, rodzeństwu, panu radcy, jego dzieciom i wszystkim potrzebującym. A imię Twoje niech będzie na wieki chwalone.

Już prawie zasypia, prawie — tymczasem drzewo od kuchni uchyliło się i wuwa się Władka. Na tacie niesie herbatę i kilka przypieczonych angielskim sposobem grzanek obasypanych parmezanem. Zebrowski odwraca ku niej głowę. Ona kładzie na ustach palec i powoli zbliża się ku niemu.

Pita otwiera oczy i teraz widzi doskonale cień Władki, niosącej taczkę z herbatą. Jakże cicho! Ona napiliaby się herbaty! Zapach grzanek dołuje aż do jej spragnionego żołądka. Leżała Władka stawia taczkę przed Zebrowskim i mówi szepem:

— To dla pana dobrodziejka!
Zebrowski porusza się na wprost, książka wypada mu z rąk.

— Żanin się zdołał schylić. Władka ładnym gestem, który widocznie intuicyjnie odczuwa, przysięga, podejmując książkę i szepce, wskazując tak:

— Proszę pić!
Zebrowski niedzielnymi ruchami stara się podnieść dziewczynę.

— Niechcie pani...
Ona cichle kładzie i znów pokazuje ręką na taczkę:

— Proszę pić...
Zebrowski wyrzuca, jakby ze zdławionego gardła.

— Ależ dzieł się pobudza.
Władka powstaje niedbale.

— Spój! — mówi krótko.
Leżąc zgięta za parawanem.

Pita szybko zamknięła oczy i zaparła dech. Władka powraca do kuchni.

— Zaraz przyjdę! — rzuca na odchodem.
Pita otwiera oczy i widzi, jak po odejściu Władki, oczy wykonywa serię dziwacznych ruchów, tarzając, wyłącza mankiety, puka się w górną kciuk. Pita wie, że ojcę to robi, gdy jest bardzo czegoś zdenerwowany i niespokojny.

Koniec końców, Zebrowski wysuwa taczkę z herbatą, pije gorący napój, a je grzanki, aż trzeszczą. Natychmiast z za parawanu pije głos Edka:

— Tu ktoś coś ja... niech mnie da... ja głodny!

— Cicho bądź! Spój! — odpowiada dość ostro Zebrowski.

Po chwili rozlega się chrapanie Edka.

W kwadrans później znów wuwa się Władka. Niesie drugą szklankę herbaty.

— Proszę, oświadcza, z cytynką, jak pan lubi.

Zebrowski jakiś zadowolony odpowiada:

— A skąd pani wie, co ja lubię?

— O! ja uważam! uważam! — śmieje się Władka, na kogoś się powinno głównie uważać, jak nie na pana domu? Mąż panem domu.

Tak śpiewając w teatrze...
Opiera się znów o stół zapadłym bruchem i kołysze się.

Pita otwiera coraz szerzej oczy:

— E!... — szepce Zebrowski — to tak na scenie.

— To źle! powinno być inaczej. Mówiwa należą się wszystkie najpiękniejsze i najpiękniejsze wygody i najpiękniejsze względy. On jest król stworzenia. Tak napisano i kwita.

— A gdzie to tak napisano?

— A no to już tak Pan Bóg Ewę nauczył, bo wyznał jej z raju za to, że dała owoc z jabłka. Adamowi Powinno go była pociągnąć od razu całym jabłkiem i wszystko byłoby dobrze. A to tak przez nie...

Zebrowski głowę kręci:

— Ogniem pani dowcipna.

— E... nie. Tylko się staram pana rozśmieszyć i dotrzymać towarzysztwa. Jakże tak pan ma sam siedzieć. To aż serce boli! Jutro do biura, a pan przy dzieciach. To kobiet sprawo... Zebrały tak odmień to szaleństwo, to pan dobrodziej dawno w łóżeczku ślicznie leżał pod kołkierką, a ja bym czuwała.

— Moja żona zmęczona.

Władka milczy.

Pita myśli sobie w tej chwili, że słyszała doskonale, jak Władka namawiała Tuśkę, aby szła spać, mówiąc:

— Pani dobrodziejka taka bladoziusta, jak ten opłatek. Proszę się wyspać. Już niech lepiej pan czuwa; męczymy się także potrudzi się trochę nad dziećmi...

Tak mówiła Władka do matki wieczorem; w nocy mówi to samo, tylko przewrotnie, do ojca. O! Pita nie zasnąć, będzie szlachta. Raz, że ją te marionetki na białem nie bawią, a potem, że dobrze jest przonać przewrotność ludzką.

Władka wrzeca sobie krzesło i uśladza także przy stole.

Zanim lampka. W ten sposób Pita widzi ich oboje z profilów i zdaje jej się, że Władka ma taką miłą, jaką chciała pościć ojca, a on, jakby gotował się do skoku w te szeroko otwarte, rozłożone usta.

Mówi teraz o grzankach.

— A skąd pani umie takie pyszne, grzanki przyszywać?

— A byłam za... gospodynią, więc się przyuczyłam.

Zebrowski głowę przekręca, jak myśli krótko.

— Taak? a może u... kawalera?

— Nie!

— No, no proszę się przyznać.

— U wdowca.

— A co! a co!...

— Niby co?

— No, tego... wdowczy...

— Ach! że też zaraz wy, męczymy coś przy puszczeniu de grubis. Jakby to już nie można...

E! gniewam się.

— No, no... nie gniewałam się.

Pita aż dech zatrzymał. Nie może pojąć ojca. Jak on to z Władką rozmawia. Ona mówi „wy męczymy”, a on na to nie, że ona tak poufała. I potem ojcę pieszczotliwie przemawia do tej dółbatego, brzydliej dziewczyny.

— Nie gniewałam się.

Nigdy, nawet, gdy Pita była małątką, ojciec do niej tak nie mówił! Tylko tam, w Zakopanem, pan Porzycki tak mówił do niej i raz do mamci. Ale ona była mała, a mamcia nie jest szarwacką, ani dółbatego.

Pięć ognia jakaś wesołość. Jest to nie naturalne podniecenie, ale wesoło jej. Gdyby się nie lekkała, zachychotałaby cichym z całego serca.

Leżąc Zebrowski wstaje od stołu, a ma pozor wystraszonego.

— Trzeba zobaczyć, co się dzieje z synem!

— mówi poważnie.

Zagłada za parawan. Władka siedzi go chwilę w milczeniu.

— Jak z pana wzorowy ojciec! — mówi po chwili rozrównionym głosem — ja, gdyby była żona pana, to dałabym i noc na kolanach dziękowałabym Bogu, że mi takiego męża znalazł.

Pita widzi, jak ojcę wydmucha kłatkę pierśsiową i obiega kamizelkę.

— Co też pani, co też pani...

— Ale daj słowo. Takich mężczyzn zachęca, wzorowych, szlachetnych, w sile wieku, teraz nie znaleźć.

— Co też pani mówi. Ja jestem stary.

Ach! tak mówił pani dobrodziejka. Ale to nie ma znaczenia. Dla każdej kobiety, która odczuwa taki skarb potrafi, to coś za właściwie lata. Pan dobrodziejka w sobie rzeczywiście coś takiego... coś podciągającego.

Chwilka paury.

— Ja wyprawdzie natrąpnę się na pana dobrodziejka nie mogę.

Zebrowski śmieje się, ale jakby z przymusem.

— Ja doprawdy nie rozumiem...

Władka wstaje, zostaje tak jeszcze chwilę, poczem szepce:

— Ja wolę stąd pójść...

— Jakto?

— Tak. Do kuchni. Tam spędzę resztę nocy. Wolę...

— Ale...

— Nie, nie. Proszę nie pytać. Tylko proś mnie puścić.

Pita zauważyła, iż ojcę wcale Władki przemocą nie trzyma.

— Dobranoc panu!

Wzłono tak, jak wiatr.

Zamknięty się cichutko drzwi od kuchni. Władka znikła.

Przy stole siedzi Zebrowski nad pustymi szklanami.

Pita patrzy na jego profil. Takto nie jest wesoły. Przeciwnie, jakby spowiniał. Ogląda ma kłatkę pierśsiową tak wydmuchaną, jak wtedy, gdy Władka mówiła mu, że jest wzorowy i w sile wieku.

— Tylko jest zarazem niespokojny. Ogląda się na prawo, na lewo. A potem sam do siebie kręci głowę. I to jest najzabawniejsze. Piele się zdaje chwileczkę, że ktoś okno otworzył, że wpadł chłapaczem niepostrzeżenie, pokłosał się przy stole i — uciekł.

Już raz miała to wrażenie, gdy weszła do ich domu Władka. Leżąc teraz Pita czuje, że to „dółbatego” postąpiła jeden krok w głąb ich domu, że weszła tam, gdzie do tej chwili nie wchodził obcy.

— Wszystko dzwina... — błądził myśli Pity — ach, tak!

Nigdy, nawet, gdy Pita małątką, ojciec do niej tak nie mówił! Tylko tam, w Zakopanem, pan Porzycki tak mówił do niej i raz do mamci. Ale ona była mała, a mamcia nie jest szarwacką, ani dółbatego.

Pięć ognia jakaś wesołość. Jest to nie naturalne podniecenie, ale wesoło jej. Gdyby się nie lekkała, zachychotałaby cichym z całego serca.

Leżąc Zebrowski wstaje od stołu, a ma pozor wystraszonego.

— Trzeba zobaczyć, co się dzieje z synem!

— mówi poważnie.

Zagłada za parawan. Władka siedzi go chwilę w milczeniu.

— Jak z pana wzorowy ojciec! — mówi po chwili rozrównionym głosem — ja, gdyby była żona pana, to dałabym i noc na kolanach dziękowałabym Bogu, że mi takiego męża znalazł.

Pita widzi, jak ojcę wydmucha kłatkę pierśsiową i obiega kamizelkę.

— Co też pani, co też pani...

— Ale daj słowo. Takich mężczyzn zachęca, wzorowych, szlachetnych, w sile wieku, teraz nie znaleźć.

— Co też pani mówi. Ja jestem stary.

Ach! tak mówił pani dobrodziejka. Ale to nie ma znaczenia. Dla każdej kobiety, która odczuwa taki skarb potrafi, to coś za właściwie lata. Pan dobrodziejka w sobie rzeczywiście coś takiego... coś podciągającego.

Chwilka paury.

— Ja wyprawdzie natrąpnę się na pana dobrodziejka nie mogę.

Zebrowski śmieje się, ale jakby z przymusem.

— Ja doprawdy nie rozumiem...

Władka wstaje, zostaje tak jeszcze chwilę, poczem szepce:

— Ja wolę stąd pójść...

— Jakto?

— Tak. Do kuchni. Tam spędzę resztę nocy. Wolę...

— Ale...

— Nie, nie. Proszę nie pytać. Tylko proś mnie puścić.

Pita zauważyła, iż ojcę wcale Władki przemocą nie trzyma.

— Dobranoc panu!

Wzłono tak, jak wiatr.

Zamknięty się cichutko drzwi od kuchni. Władka znikła.

Przy stole siedzi Zebrowski nad pustymi szklanami.

Pita patrzy na jego profil. Takto nie jest wesoły. Przeciwnie, jakby spowiniał. Ogląda ma kłatkę pierśsiową tak wydmuchaną, jak wtedy, gdy Władka mówiła mu, że jest wzorowy i w sile wieku.

— Tylko jest zarazem niespokojny. Ogląda się na prawo, na lewo. A potem sam do siebie kręci głowę. I to jest najzabawniejsze. Piele się zdaje chwileczkę, że ktoś okno otworzył, że wpadł chłapaczem niepostrzeżenie, pokłosał się przy stole i — uciekł.

Już raz miała to wrażenie, gdy weszła do ich domu Władka. Leżąc teraz Pita czuje, że to „dółbatego” postąpiła jeden krok w głąb ich domu, że weszła tam, gdzie do tej chwili nie wchodził obcy.

— Wszystko dzwina... — błądził myśli Pity — ach, tak!

Nigdy, nawet, gdy Pita małątką, ojciec do niej tak nie mówił! Tylko tam, w Zakopanem, pan Porzycki tak mówił do niej i raz do mamci. Ale ona była mała, a mamcia nie jest szarwacką, ani dółbatego.

Pięć ognia jakaś wesołość. Jest to nie naturalne podniecenie, ale wesoło jej. Gdyby się nie lekkała, zachychotałaby cichym z całego serca.

Leżąc Zebrowski wstaje od stołu, a ma pozor wystraszonego.

— Trzeba zobaczyć, co się dzieje z synem!

— mówi poważnie.

Zagłada za parawan. Władka siedzi go chwilę w milczeniu.

— Jak z pana wzorowy ojciec! — mówi po chwili rozrównionym głosem — ja, gdyby była żona pana, to dałabym i noc na kolanach dziękowałabym Bogu, że mi takiego męża znalazł.

Pita widzi, jak ojcę wydmucha kłatkę pierśsiową i obiega kamizelkę.

— Co też pani, co też pani...

— Ale daj słowo. Takich mężczyzn zachęca, wzorowych, szlachetnych, w sile wieku, teraz nie znaleźć.

— Co też pani mówi. Ja jestem stary.

Ach! tak mówił pani dobrodziejka. Ale to nie ma znaczenia. Dla każdej kobiety, która odczuwa taki skarb potrafi, to coś za właściwie lata. Pan dobrodziejka w sobie rzeczywiście coś takiego... coś podciągającego.

Chwilka paury.

— Ja wyprawdzie natrąpnę się na pana dobrodziejka nie mogę.

Zebrowski śmieje się, ale jakby z przymusem.

— Ja doprawdy nie rozumiem...

Władka wstaje, zostaje tak jeszcze chwilę, poczem szepce:

— Ja wolę stąd pójść...

— Jakto?

— Tak. Do kuchni. Tam spędzę resztę nocy. Wolę...

— Ale...

— Nie, nie. Proszę nie pytać. Tylko proś mnie puścić.

Pita zauważyła, iż ojcę wcale Władki przemocą nie trzyma.

— Dobranoc panu!

Wzłono tak, jak wiatr.

Zamknięty się cichutko drzwi od kuchni. Władka znikła.

Przy stole siedzi Zebrowski nad pustymi szklanami.

Pita patrzy na jego profil. Takto nie jest wesoły. Przeciwnie, jakby spowiniał. Ogląda ma kłatkę pierśsiową tak wydmuchaną, jak wtedy, gdy Władka mówiła mu, że jest wzorowy i w sile wieku.

— Tylko jest zarazem niespokojny. Ogląda się na prawo, na lewo. A potem sam do siebie kręci głowę. I to jest najzabawniejsze. Piele się zdaje chwileczkę, że ktoś okno otworzył, że wpadł chłapaczem niepostrzeżenie, pokłosał się przy stole i — uciekł.

Już raz miała to wrażenie, gdy weszła do ich domu Władka. Leżąc teraz Pita czuje, że to „dółbatego” postąpiła jeden krok w głąb ich domu, że weszła tam, gdzie do tej chwili nie wchodził obcy.

— Wszystko dzwina... — błądził myśli Pity — ach, tak!

Nigdy, nawet, gdy Pita małątką, ojciec do niej tak nie mówił! Tylko tam, w Zakopanem, pan Porzycki tak mówił do niej i raz do mamci. Ale ona była mała, a mamcia nie jest szarwacką, ani dółbatego.

Pięć ognia jakaś wesołość. Jest to nie naturalne podniecenie, ale wesoło jej. Gdyby się nie lekkała, zachychotałaby cichym z całego serca.

Leżąc Zebrowski wstaje od stołu, a ma pozor wystraszonego.

— Trzeba zobaczyć, co się dzieje z synem!

— mówi poważnie.

Zagłada za parawan. Władka siedzi go chwilę w milczeniu.

— Jak z pana wzorowy ojciec! — mówi po chwili rozrównionym głosem — ja, gdyby była żona pana, to dałabym i noc na kolanach dziękowałabym Bogu, że mi takiego męża znalazł.

Pita widzi, jak ojcę wydmucha kłatkę pierśsiową i obiega kamizelkę.

— Co też pani, co też pani...

— Ale daj słowo. Takich mężczyzn zachęca, wzorowych, szlachetnych, w sile wieku, teraz nie znaleźć.

— Co też pani mówi. Ja jestem stary.

Ach! tak mówił pani dobrodziejka. Ale to nie ma znaczenia. Dla każdej kobiety, która odczuwa taki skarb potrafi, to coś za właściwie lata. Pan dobrodziejka w sobie rzeczywiście coś takiego... coś podciągającego.

Chwilka paury.

— Ja wyprawdzie natrąpnę się na pana dobrodziejka nie mogę.

Zebrowski śmieje się, ale jakby z przymusem.

— Ja doprawdy nie rozumiem...

Władka wstaje, zostaje tak jeszcze chwilę, poczem szepce:

— Ja wolę stąd pójść...

— Jakto?

— Tak. Do kuchni. Tam spędzę resztę nocy. Wolę...

— Ale...

— Nie, nie. Proszę nie pytać. Tylko proś mnie puścić.

Pita zauważyła, iż ojcę wcale Władki przemocą nie trzyma.

— Dobranoc panu!

Wzłono tak, jak wiatr.

Zamknięty się cichutko drzwi od kuchni. Władka znikła.

Przy stole siedzi Zebrowski nad pustymi szklanami.

Pita patrzy na jego profil. Takto nie jest wesoły. Przeciwnie, jakby spowiniał. Ogląda ma kłatkę pierśsiową tak wydmuchaną, jak wtedy, gdy Władka mówiła mu, że jest wzorowy i w sile wieku.

— Tylko jest zarazem niespokojny. Ogląda się na prawo, na lewo. A potem sam do siebie kręci głowę. I to jest najzabawniejsze. Piele się zdaje chwileczkę, że ktoś okno otworzył, że wpadł chłapaczem niepostrzeżenie, pokłosał się przy stole i — uciekł.

Już raz miała to wrażenie, gdy weszła do ich domu Władka. Leżąc teraz Pita czuje, że to „dółbatego” postąpiła jeden krok w głąb ich domu, że weszła tam, gdzie do tej chwili nie wchodził obcy.

— Wszystko dzwina... — błądził myśli Pity — ach, tak!

Nigdy, nawet, gdy Pita małątką, ojciec do niej tak nie mówił! Tylko tam, w Zakopanem, pan Porzycki tak mówił do niej i raz do mamci. Ale ona była mała, a mamcia nie jest szarwacką, ani dółbatego.

Pięć ognia jakaś wesołość. Jest to nie naturalne podniecenie, ale wesoło jej. Gdyby się nie lekkała, zachychotałaby cichym z całego serca.

Leżąc Zebrowski wstaje od stołu, a ma pozor wystraszonego.

— Trzeba zobaczyć, co się dzieje z synem!

— mówi poważnie.

Zagłada za parawan. Władka siedzi go chwilę w milczeniu.

— Jak z pana wzorowy ojciec! — mówi po chwili rozrównionym głosem — ja, gdyby była żona pana, to dałabym i noc na kolanach dziękowałabym Bogu, że mi takiego męża znalazł.

Pita widzi, jak ojcę wydmucha kłatkę pierśsiową i obiega kamizelkę.

— Co też pani, co też pani...

— Ale daj słowo. Takich mężczyzn zachęca, wzorowych, szlachetnych, w sile wieku, teraz nie znaleźć.

— Co też pani mówi. Ja jestem stary.

